

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 1 kwietnia 1916 roku.

№ 14.

## DWIE ANTOLOGIE.

Niezadługo zjednoczone zarządy Kasy Literackiej oraz Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy mają przyznać po raz pierwszy nagrodę im. E. Orzeszkowej za wybitne dzieło literackie z ostatnich dwóch lat albo też za całą działalność literacką pisarza polskiego. Łatwo przewidzieć, że jury nie znajdzie w ostatnim dwuleciu dzieła, w wydaniu książkowym ogłoszonego, które warunkom nagrody odpowie. Wojna zatamowała twórczość pisarzy, a w każdym razie wywołała u nakładców tak wielką przezorność i powściągliwość, że porzeczają conajwyżej na puszczeniu w świat niektórych, dawniej rozpoczętych wydawnictw. Atmosfera wojenna uwydatniła przecież wysoce znamienne zjawisko, które nie ulegało jeszcze dyskusji publicznej: pobudziła do pieśni lub piosenki zgórą *dwustu poetów!*

Brakło nam w wielkiej chwili przełomu mężów stanu, którychby *cały* naród chciał słuchać; brakło nam ogniw wspólnych postanowień, któreby zjednoczyły zewnętrznie chociaż trzy, cztery grupy polityczne; brakło nam tego szerokiego zmysłu organizacyi, który łamie zwycięsko wszelką klęskę i niesie elementy nowej budowy społecznej. A za to, po kilkunastu miesiącach zapasów wojennych, mamy już dwie antologie, wyławiające troskliwie i niecierpliwie polskie marzenia i u niesienia poetyckie czasu wojny: pierwszą, zawierającą utwory stu poetów, ułożył p. Ludwik Szczepański; druga, z pieśniami dwustu zgórą poetów, rymopisów i grafomanów wyższego rzędu, sporządzona została przez pp. Stanisława Lempickiego i Adama Fischera. Pierwsza usiłuje zebrać „najcelniejsze utwory poezyi współczesnej” w przekonaniu, że mogą one „roztoczyć

przed czytelnikami pełny obraz charakterystycznych prądów i drgnień myślowych i czuciowych, przebiegających nasze społeczeństwo w latach burzy światowej”; druga, obok tych, co chodzą już „w promieniach poetyckiej sławy”, przynosi z pospiechem, niezawsze godnym współuczucia, „liczne młode talenty, to w rozkwicie, nieznające jeszcze siebie samych, to tylko może przygodne, chwilowe, wybuchające w pewnych momentach, niby owe na polu szrapnele (sic), raczej płody chwili, nastroju, niż trwałych uzdolnień”. Tak zgromadzony materiał przeznaczony jest przez autorów antologii dla celu specjalnego: „nie do analiz historyczno-literackich ma służyć, ale wieść do silnych przeżyć i odczuwań, umacniać, nauczać, porywać”.

Jestże możliwe podobne oddziaływanie na umysły przez wiersze warte? Jestże możliwe, aby utwory słabe mogły „wieść do silnych przeżyć i odczuwań”? Czy raczej w tym żywym materiale, „blizkim nam, jak blizkie życie naszych braci i synów”, nie należy szukać przedewszystkiem uczuciowego dokumentu chwili, tej chwili jedynej, od wieku wyczekiwanej?

Przed końcem wojny zabrzmia zapewne niejedno jeszcze słowo poetyckie. Ale najistotniejszy charakter tej nowej poezyi ujawnił się już niewątpliwie w pierwszym roku wojny, wśród żaru nieznużonych jeszcze entuzjazyzmów. I dlatego możemy już ujmować syntetycznie jej znamiona, bez perspektywy oddalenia w czasie, a nawet bez rozluźnienia więzów uczuciowych, które nas łączą z jej „przeżyciami i odczuwaniami”.

Najgłębszą, najstaranniej ukrytą cechą naszej dzisiejszej poezyi wojennej jest troska o *czystość tonu*.

Chodź o zaszczepienie i w sobie i w innych wiary, że „starym ojców naszych szlakiem przez krew idziem ku wolności”, że „zamarzyły się nam czyny z pod Grochowa—Ostrołęki”. Rzeczywistość inne śpiewa melodye: rzeczywistość snuje wciąż bolesny rapsod o naszym tragicznym rozproszeniu i rozbięciu, o naszej niemocy *wewnętrznej*, o pięćdziesięciu różnorodnych Polskach w chwili, gdy ma być mowa o Polsce... chociaż jednej. Poezja stoi wciąż zdala od tych sporów nieprzemienionej niewoli. Przez cały czas wojny słyszała jedną tylko „wymianę hasel”: Wolność — Ojczyzna — obudzony polski lud („Trzy hasła” Z. Dębickiego). Wierzyła, że strzeleckie rowy „chłop nasz zubożały zasiewać będzie i upadać cały z sił, kiedy w plugu pociągu nie stanie” — *byleby tylko...*; wierzyła, że „wolność zbliża każda nasza bliźna”, więc wczytywała się pilnie w „testament ojców — Bar i Raclawice” (J. Pietrzycki); więc wolała radośnie do Polski: „Ktoś w ogniu lun i w dymie krwią własną na sztandarach Twe święte kreśli imię” (E. Słoński); więc zapewniała wreszcie, że „dokąd karabin mamy w dłoni, dopóty Polska wolna jest”.

Pieśń przeszłości była nieprzerwanym hymnem tęsknoty do czynu. Teraz wśród wielkiej burzy dziejowej przyszły wreszcie niepewne zarysy czynu, ale czynu tragicznie zmałowanego, zwalczanego przez społeczeństwo, już to roztrzaskanego w sobie, już to melancholią koniecznej *ofiary* zarażonego. Poezja spojrziała na ten czyn poprzez mgłę różową, ogarnęła go miłośnie, rozkochała się w nim, a ulegając czarowi własnych dźwięków, uwierzyła najmocniej, że stworzona już została *poza nią* dostatecznie mocna, wielkim jutrem brzemienna rzeczywistość: „słuchaj! — woła jeden z anonimowych heroldów lepszej dolę — wszak o nas wiatru podmuch prawy, całą się ziemia w *naszym* kocha czynie”. (Jan St. „Królestwo nasze”).

I przeważna ilość poetów usiłuje czyn ten związać jaknajwyraziściej z naszą orężną tradycją porozbiorową. W rozmarzeniu lub zapale poetyckim rodzi się złuda, że pewna postawa, pewien gest lub hasło, powtarzające jakie zjawisko z epoki Legionów lub z roku 1831, przynosi *analogiczną* sytuację, że sytuację tę wprost wywołuje. Więc chociaż „nie wszyscy powstałi rycerze”, — ale męźnie „wyszędł na boje Polski gniew” i woła dumnie: „wszak Polska — to my!” (J. A. Teslar), albo: „każdy z nas rycerski pogrobowiec, w puściznie godnie wziął płomienny miecz” (J. Fryling, sierżant).

Poza puścizną owego „płomiennego miecza”, którym połyskują męźnie obie antologie, znajdziemy w nich jeden żywioł nowy, nieznan w takiej skali i poziomie wyjarzmiającym się pokoleniom poprzednim; to literacka *forma* wiersza. Wystarczy porównać najpopularniejsze utwory piosenkarzy powstania listopadowego (Suchodolskiego i Kowalskiego, Gosławskiego, Kicińskiego, „Trzy struny” Goszczyńskiego a nawet niektóre pieśni Janusza) z utworami najsłabszych pieśniarzy legionów obecnych, aby stwierdzić formalną wyższość dzisiejszego wiersza. Podniósł się przez lat kilkadziesiąt ogromnie stopień kultury literackiej (zwłaszcza w Galicyi); umieją wszyscy budować poprawne rymy, wybuchają ci i owi niespodzianie poezją, „niby owe na polu szrapneli”, zdobywają się „raz na piękny wyraz swych uczuć, bo przeżyli chwile silnych wrażeń i szczerze je odtworzyli”, jak np. P. K. Łepkowski, który „z przymusowych wywezasów palestranekich skorzystał, aby spróbować sił swoich na polu poezji” i wydał zbiorek wierszy, „odznaczających się nieskazitelnym, prostym językiem, polotem

poetyckim i uczuciem patryotycznym”. W rowach strzeleckich narodziło się kilka szczerych talentów, jak Teslar, A. Cwikowski a przede wszystkim Józef Mączka, pełen ognia żołnierz-poeta, szeroką już cieszący się popularnością. Udoskonalił się niezmiernie *wyraz* uczuć: „nawet w ulicznej piosence usłyszysz pomruki lwie” (E. Słoński).

Wzmogła się także czujna świadomość *efektu*; spostrzeżemy ją nie tylko w konstrukcji wiersza, bardzo dalekiej od żywiołowej bezpośredniości, ale w ukrywanej napróżno a pilnej trosce o budowanie już dziś *legendy* historycznej, nieustanne spoglądanie na samych siebie z perspektywy czasów przyszłych, przybieranie bohaterstwa osobistemu, przybieranie bohaterskiej postawy z tęskną myślą, aby jej właśnie linie przekazać pamięci potomnych.

Czy jednocześnie pomnożyła się skala motywów poetyckich? Niestety, nie bardzo na to pozwala charakter wojny nowoczesnej, w której sprawność artylerii decyduje o zwycięstwie i tak nie wiele pozostawia pola bohaterstwu osobistemu. Przybył motyw jeden, nieznan od Sadowej: to tragiczny los polaka, strzelającego do swego brata-rodaka w obozie przeciwnym. Motyw ten rzadko nawiedza liry poetów-żołnierzy; rozważają go melancholijnie poeci w stolicach. Opiewa go E. Słoński w wierszu „Rozdzielił nas”, gdzie w dyalogu żołnierskim padają słowa: „O nie myśl o mnie, bracie, w śmiertelny idąc bój, i w ogniu moich strzałów, jak rycerz, męźnie stój”, — bo „ta, co nie zginęła, wyrośnie z naszej krwi”. Tak samo rozwiązuje tragiczną rozterkę walczących polaków Z. Dębicki: „W mogile wspólnej, w mogile wspólnej jest przyszłość nasza” („Rozmowa”).

DN.

Jan Lorentowicz.

gryzienie śpiczastem kielkami. Kimże jest pan Z.? Tylko jej mężem. Czyż nie widzi, że nawet służba słucha go i powoła jedynie dzięki niej. Czyż ta brodnicza podejrzliwość nie płynie ze słabości, która nie śmie uwierzyć, że coś posiadała mocno, bo nie czuje się niczego godną? I ostatecznie ma słuszość, nie jest bowiem jej godzien — o nie! postokroć nie!

Pan Z. słuchał potoku zniewag i okrzyków namiętnych nieruchomy, ze spuszczoną głową. Wreszcie padł na kolana i w skruszonej postawie winowajcy usiłował bezradną ręką objąć i przebłagać stopy miotającej się gniewnie kobiety. Pani Z. należała do rzędu dość rzadkich kobiet, których urodę gniew rozżarza i doprowadza do olśniewającej potęgi. Wiedziała o tem, więc się miotała dłużej, niż wypadło ze względu na skruczę winowajcy. Wysłała wreszcie, odepchnawszy ręce wyciągnięte błagalnie, a pan Z. powstał i otrzepawszy kurz z kolan, uczuł się spokojniejszym. W ogniu jej gniewu stopniała groza, że mu inny wydrze tę, która go wiodła rozkosza ku przedzielnemu zgubie. W owej chwili nie widział tej zguby. Rozproszone podejrzenia pozostawiły woń lubieżną, którą wciągał pełnym nozdrzami. Uczuł się pokrzepionym zniewagami i silnym. Zarzucił strzelbę na plecy i nucąc aryjkę operową, ruszył miedzą w pole.

Tymczasem pani Z. doszła do swego pokoju i tu upadła zemdlną. Dopiero teraz — wraz z utratą przytomności — trysnęły łzy. Zaniepokojona służba, nie dając narazie znać panu, przeniosła chorą do łóżka. W milczeniu, jakby zatopiona w sobie, jakby rozpamiętywająca życie przeszłe, przeleżała pani Z. prawie do zmierzchu. Głaskała po głowie dobrotnie męża zaniepokojonego, skruszonego jeszcze bardziej, bliźkiego czarnej rozpacz. Ale tego wieczoru mieli być goście. Pani Z. nie chce słyszeć o tem, by pozostać w łóżku. Przeciwnie, wstaje, ubiera się w najpiękniejszą suknię i wychodzi, jaśniejąc młodocia, wdziękiem, urodą, podnieconą i dziwnie olśniewająco świeżą. Jej oczy promienieją, usta są purpurowe, ruchy giętkie i pewne. Przy stole, gdzie zasiadło dwadzieścia osób, oddawna, może od czasu, jak stoi dwór w X., nie widziano pani domu tak uroczej, tak uprzedzającej dla gości, tak biegłej w prowadzeniu niewymuszonej rozmowy. Przy deserze cały stół wraz z gośćmi płasa (nurza się w rozkoszy powściągliwego upojenia!), a bokobrody p. Z. lśnią uroczycie i miękko, jak runo na owcy, która otrzymała złoty medal na wystawie przemysłowo-rolniczej. Nikt nie spostrzeża, że głowa pani Z. wstrząsnęła się lekko, jakby mówiąc: nie! nie! — jakieś myśli napastliwe. Jej wielkie oczy zamknęły się na chwilę, może aby ukryć falę cierpienia, która się w nich

LEON CHUROMAŃSKI.

## Małe pęknięcie konwenansu.

2

Pewnego dnia przepelniła się czara cierpliwości tej kobiety. Jej srogość, którą uśmierzała bezgraniczna dobroć i uwielbienie jej męża w chwilach, kiedy mógł jego działać normalnie, zakipiła nareszcie! Mąż z sinemi plamami na twarzy, z oczyma błędnymi i postawionemi słupem, z owym potem złowrogim, który, jak trucizna Lokusty, ocieka z czoła, zbrudzonego wzdętymi żyłami, wycharczał obelgę, że ona zdradza go... z ekonomem! Cios był zbyt brutalny! Pani Z., łudząca się uparcie i nie przypuszczająca nawet, w jakim stopniu ten człowiek należy już raczej do sanatorium, niż do salonu i do niej, rzuciła się, jak pantera! Po chwili piękna waza, stracona z kon-

solu, leżała na posadzce w skorupkach, a pan Z. uczuł trzask i palenie policzka, wymierzonego mściwą a tylekroć pieszczoną dłońią. Potem spadł grad obelg, ociekających pianą gniewu! Ach głupiec! ach, idyota! ach, niedołęga, który łamie jej życie! Ach, ślepiec, nie widzący, jak ona pogardza zdradą i fałszem, jak wstrętnymi są jej mężczyźni! Była wierna, święcie, niepokalanie, szczerze wierna! Ale że ją posadza — dobrze! będzie miał, czego chce! Codziennie wypływszy z jej sypialni gacha, jeśli będzie umiał go wypatrzeć. Ciosy, wymierzone z początku zajadle, obelgi, zaptapiane w duszę, jak ostre zęby w nagie ciało, zwolna drobniły i zamieniały się w dotkliwe klócia, w

podniosła. Nagle wśród grzecznej i lekkiej rozmowy, wśród żwawego dworowania padają słowa z ust pani Z., które brzmią wcale inaczej. Trzymając w wysmukłych palcach kieliszek z winem, zwraca się ona do kapitana:

— Kapitanie, wszak byłeś na wojnie i zaglądałeś w oczy śmierci. Cóż nam powiesz o niej?

A gdy kapitan S., jako człowiek milczący z natury, waha się i czeka na dalsze zapytania, pani Z. ciągnie dalej — a twarz jej nabiera uroczystej powagi posagu, który mówi:

— Nie myślę teraz o śmierci naturalnej... z wyczerpania lub starości. Nie myślę również o samobójstwie. Ale — jak sądzisz, kapitanie, czy można zabić człowieka, którego — tu pani Z. się zatrzymała, jakby szukając odpowiedniego wyrazu, aż rzekła: — którego się *kochało*. Pomyśl, kapitanie... ten człowiek obraził nas... zadał śmierć naszej głębokiej, drogiej ufności... spowiewał gorącą nadzieję naszą... kopnięciem nogi obalił marzenie... Wiemy, że wyzwoli nas tylko śmierć, a sami nie chcemy umierać, bo nie jesteśmy dość pokorni, aby ustępować z drogi winowajcy... Powiedz — tu uśmiech przerażająco piękny i głęboki! — czy nie zabiłbyś takiego człowieka, kapitanie?

Kapitan S., ku któremu zwróciły się wszystkie głowy, zdziwione nieco, że lekka, błyskotliwa rozmowa przybrała kierunek tak ponury, i wietrząc w tem jakąś ukrytą sensację, jak hyeny padlinę — osadził się głębiej w krzesła, jak jeźdźcie, ruszający w dalszą drogę, osadza się w siodło, i walcząc z widocznym wzruszeniem, tem dziwniejszem, że dla innych gości był to tylko epizod niespodziewany i rozciekawiający, odpowiedział:

— Nigdy nikt nie zburzył i nie spowiewał moich nadziei. Może dlatego, że ustępowałem z drogi ludziom i wypadkom. Pewnego dnia jednak los i mnie zesłał pokusę:

Siedząc w okopie pod forteczką X., otrzymałem wiadomość, że przyjaciel mój, jedyny przyjaciel mej młodości — dodał kapitan z naciśnięciem — zginął podczas wycieczki nocnej.

Postanowiłem pomścić jego śmierć. Wydałem rozkaz, aby mi dano znać natychmiast, skoro tylko który kabyl wytknie głowę z poza szanica.

Po kilku godzinach kapral zameldował, że widać wroga i można strzelać.

Podano mi nabity karabin. Zacząłem mierzyć. Przed strzałem — spojrziałem przez lunetę.

Kabyłowie modlili się z podniesioną rękoma.

Mierzyłem z karabinu... Chciałem pomścić śmierć przyjaciela. Ale... przestałem widzieć wroga. Przedemną wzniosły się nasze wie-

że chrześcijańskie... krzyże jaśniejące na szczytach... rozkołysane dzwony... I dopiero pozatem jakby kilka błahych stworzeń, błagających Istotę wiekującą, aby dźwignęła ich z nędzy i wzniosła ku Sobie.

Oddałem karabin zdziwionemu kapralowi. Nie mogłem strzelać do ludzi, którzy się modlą.

Ilekoć wspomniałem później tę chwilę, dziękowałem Bogu za tę zasłonę z wień i krzyżów i żem nie strzelał wówczas. Moja kula zabiłaby najdroższe uczucie młodości: przyjaźń do poległego druha...

I zwracając się bezpośrednio do pani domu, która słuchała go z oczyma roziskrzonymi zdumieniem, niecierpliwością, a może i wzgardą, kapitan niemal wyszeptał:

— A gdybym spotkał takiego człowieka, o jakim mówiła pani, to nie zabiłbym go, bo jako człowiek *bardzo cichy* z pewnością i w nim słyszałbym szemranie wiecznej modlitwy.

Kapitan S. umilkł i opuścił głowę, jakby zawstydzony...

Kobiety zakryły oczy rękami i zamyśliły się. Mężczyźni również przetrzymali wątpliwości, czy kapitan S. postąpił słusznie, czy nie. Milczenie przerwał pan domu.

— Moja duszko — rzekł do żony, która znów przybrała minę damy uprzejmej, lecz konwencyonalnej, nie nawiedzanej nigdy przez pokusy i ponure myśli. — czy Ambrosio (tak pan Z. nazywał stangreta swego, Macieja) nie upił się dziś na wieczór? Jutro wyruszę w drogę — będę potrzebował Ambrosia. Jadę do L... do prezesa dyrekcji szczegółowej. Tak... A więc jutro o tej porze mniej więcej (tu pan Z. spojrzął dyskretnie na zegarek) będę sobie siedział z prezesem. Będziemy paliłi wonne cygara. Skąd on je bierze? Nie wiem, ale są to najdoskonalsze cygara, jakie znaleźć można w okolicy.

Leon Choromański.



## Prima aprilis.

Obiad proszony u państwa Januaro-siwa. Nie żart żaden aprylisowy, ale formalne *diner* gospodarskie, jak się patrzy. Drożyzna wściekła — mój Boże — ale raz w rok koło 1-go kwietnia zaprosić trzeba...

Za stołem sami swoi: papa, mama, panna domowa, Dyzio, Kocia, i — pan Kazimierz. (Co miało być dowiedzione...).

Do zupy wszystko idzie składnie. Na *entremet* wjeżdżają na stół kielbaski...

Dyzio kuksa pod stołem Kociej.

— No!...

— ...nie idź, bo się omylisz! — słychać głośny szepet Dyzia.

— Pszmamusi! — jęczy Kocia.

— Dzieci! — strofuje papa.

— Bo psztatusia, Dyzio się szczy-pie, że te kielbaski nie są z mięsa, tylko — — —

Mamusia groźnym spojrzeniem przecina dalszy wątek. Do Dyzia zaś:

— Jak Dyzio jeszcze raz pozwoli sobie — — —

Poczem do gościa skwapliwie:

— Panie Kazimierzu, pan będzie łaskaw jeszcze jedną parę, koniecznie! Już nic nie będzie, tylko antrykoty.

— Psztatusia, czy antrykot pochodzi od słowa kot, i kotlet także? — pyta nagle Dyzio.

Wszyscy w śmiech.

— Słowo antrykot, moje dziecko, nie pochodzi od słowa kot, to pewna — wyjaśnia po chwili tatuś — ale że nasze antrykoty będą niedługo — — —

Z kolei mama nie daje dokończyć tatusiowi.

— *Laissez donc!*

— Moja duszko, chciałem powiedzieć, że nasze mięso będzie niedługo *pod psem*, a nie z — — —

Wywiązuje się *menu*'owa dyskusja. Na czasie... Panna domowa przypomina, że w Paryżu podczas obłożenia jadano psy, jako wykwinny przysmak.

— Dojdzie i u nas do tego — zapewnia papa z przekonaniem.

Tego samego zdania jest i pan Kazimierz. Wie nawet więcej: słyszał, jakoby powstała już w Warszawie (pono nawet w tej dzielnicy, niedaleko od domu, w którym mieszkają państwo Januaro-siwa) jatka, gdzie nietylko kielbaski i wędliny, ale i — — —

O wilku mowa — antrykoty wjeżdżają właśnie na stół.

Dyzio kopie z całej siły Kocię. Ta wrzeszczy.

— Dzieci!...

— Pszmamusi, Dyzio się kopie i każe mi nie jeść mięsa, że ono jest z tej jatki, co to pan Kazimierz — — —

— Dyziu?!

— Ja jej to powiedziałem naumyślnie, pszmamy — — — Ja chciałem i tatusiowi i wszystkim to samo, pszma...

Z oczu mamusi strzelają pioruny.

— Dyziu, za drzwi!

— Pszmamusi, kiedy ja to naumyślnie — — —

Nawet papa się zdenerwował.

— Wyjeżdżaj!

Dyzio wyjeżdża. Bez apelacy i — bez legminy.

W niespełna półgodziny ręce matczyne idą go wybawić z pokoju niewoli. Ale zamiast kompotu i tortu — sypią się na Dyzia razy... I uszy są w robocie, i gorzej jeszcze — — —

— Za coś ty go bijesz? — wpada pan January do pokoju.

— Ty się pytasz? Cały obiad się zmarnował! Kazimierz nie jeść nie chciał, i teraz Bóg raczy wiedzieć, czy kiedykolwiek zechce jeszcze — — —

— Ja, psztatusia, wiedziałem, że... koty... nie były z psa, pszmamusi... ale ja tak naumyślnie pszta... bo dziś pszma... prymaprylis! — buczy chłopak pod ścianą...

Pan January nie daje się przekonać:

— On wiedział, a ja nie wiem, z czego to tam były te antrykoty — — — I nie dałbym trzech groszy, powiem ci otwarcie, czy to rzeczywiście nie była — — —

Pani Januaro-siwa rozkłada ręce tragicznie:

— Psinina może?! Nie, coś podobnego?!... Antrykoty były z najlepšej, najdroższej koniny! Sama wybierałam...

B. Gorczyński.





## B A K.

— Gemmo droga — rzekł po chwili — czyż ta nieszczęsna historia będzie cię dręczyć przez całe życie? Wszyscy popełnialiśmy błędy w siedemnastym roku życia.

— Nie wszyscy zabiliśmy najdroższego przyjaciela w siedemnastym roku życia — odpowiedziała głucho, i oparłszy łokieć o kamienną balustradę mostu, patrzyła dalej w rzekę. Martini zamilkł. Lękał się odzywać do niej, gdy była w tym nastroju.

— Nigdy nie mogę spojrzeć na wodę bez przypomnienia sobie tego — rzekła, podnosząc zwolna oczy i wdrygnęła się. — Pójdźmy, Cezarze; chłodno tu stać.

Minęli w milczeniu most i szli czas jakiś wzdłuż brzegu. Po pewnej chwili Gemma odezwała się znowu:

— Jaką cudny głos ma ten człowiek. Jest w nim coś, czego nie słyszałam w żadnym, innym, ludzkim głosie. Myślę, że w tem tkwi tajemnica połowy tego wpływu, jaki wywiera.

— Tak; to nadzwyczajny głos — przytaknął Martini i rad, że może uchwycić się jakiegoś tematu rozmowy, który by ją oderwał od strasznych wspomnień, widokiem rzeki wywołanych, ciągnął dalej:

— A niezależnie od głosu jest on najświetniejszym kaznodzieją, jakiego kiedykolwiek słyszałem. Ale sądzę, że tajemnica jego wpływu leży głębiej. Nie wiem, czy znajduje się drugi, włoski dostojnik Kościoła — wyjąwszy samego papieża — którego opinia byłaby tak bezwzględnie nieskazitelna. Pamiętam, że gdy byłem zeszłego roku w Rumunii, widywałem tych nawpół dzikich górali jego dycezyi, czekających na deszczu, by go tylko ujrzeć lub dotknąć skraju jego szaty. Czezą go wszędzie, jak świętego; a to dużo znaczy u tych romańczyków, którzy naogół nienawidzą sutanny. Gdy w rozmowie z jednym starym wieśniakiem — typowym przemysłowcem — zauważyłem, że lud ogromnie jest oddany swemu biskupowi, odpowiedział mi: „Nie kochamy Monsignora Montanelli. To człowiek sprawiedliwy, którego usta nigdy nie skalają się kłamstwem“.

— Ciekawa jestem — rzekła Gemma jakby nawpół do siebie — czy on wie, co ludzie o nim myślą.

— Dlaczego nie miałby wiedzieć? Myślisz, że to nieprawda?

— Wiem, że to nieprawda.

— Skąd wiesz?

— On sam mi to powiedział.

— On ci to powiedział? Montanelli? Gemmo, co ty mówisz?

Odgarnęła włosy z czoła i zwró-

ciła się ku niemu. Stali znowu, on oparty o parapet, a ona kreśląca zwolna zygzaki końcem parasolki po flizach.

— Cezarze; od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi, a ja nigdy nie mówiłam ci, jak się to rzeczywiście stało z Arturem.

— I nie potrzebujesz mi mówić — przerwał spiesźnie. — Ja już to wiem wszystko.

— Giovanni ci powiedział?

— Tak; gdy był umierający. Powiedział mi jednej nocy, kiedy czuwałem przy nim. Powiedział — Gemmo droga, wyznam ci lepiej całą prawdę, skoro już o tem mówimy — powiedział mi, że ty zawsze dręczysz się tą nieszczęsna historia i prosił, żebym ci był przyjacielem i wszelkiemi sposobami starał się odwracać twoje myśli w inną stronę. I czyniłem to, o ile tylko było w mojej mocy, choć nie zawsze mi się udawało.

— Wiem — odrzekła miękko. — Twoja przyjaźń była mi zawsze i jest wielką pociechą. Ale — czy Giovanni nie mówił ci wtedy nic o Montanelli'm?

— Nie; nie wiedziałem nawet, że on miał z tem coś wspólnego. Mówił mi tylko o szpiegu i —

— I o tem, że uderzyłam w twarz Artura i że on się utopił. A więc, ja ci powiem o Montanelli'm.

Zawrócili więc w stronę mostu, przez który powóz kardynała miał przejeżdżać. Gemma wpatrzyła się znow w wodę i zaczęła:

— Kiedy Montanelli był kanonikiem i przełożonym teologicznego seminarium w Pizie, Artur uczęszczał tam do uniwersytetu i Montanelli dawał mu lekcye filozofii i wogóle pomagał mu w naukach. Łączyło ich najczulsze przywiązanie. Artur ubóstwiał go prosto i pamiętam, jak raz powiedział mi, że gdyby stracił swego „Padre“, jak go nazywał, toby się utopił. Wiesz, co się potem stało z powodu tego szpiega. Nazajutrz ojciec mój i Burton'owie — przyrodni bracia Artura, wstrętne typy — przez cały dzień szukali ciała w basenie Darsena, a ja siedziałam sama w moim pokoju, rozmyślając, com uczyniła —

Umilkła, i po chwili ciągnęła dalej:

— Późnym wieczorem ojciec przyszedł do mego pokoju i rzekł: „Gemmo, dziecko, zejdź na dół; tam jest ktoś, co się chce widzieć z tobą“. Zeszliśmy na dół. W gabinecie ojca siedział jeden ze studentów należących do naszego Kółka, błądy śmiertelnie i cały drżący, i powiedział nam, że otrzymał z więzienia drugi list od Giovanniego, w którym pisał im, że

dozorca doniósł więźniom o Cardim i o tem, jak Artur wpadł w zasadzkę przy konfesyjale. Pamiętam, jak student powiedział mi: „Mamy przynajmniej tę pociechę, iż wiemy, że był niewinny“. Mój ojciec pocieszał mnie wszelkiemi sposobami; nie wiedział jeszcze wtedy o policzku. Poczem wróciłam do siebie na górę i całą noc przesiedziałam sama. Nazajutrz rano ojciec mój poszedł z Burtonami; czynić poszukiwania w zatoce; myśleli, że tam może znajdą ciało.

— I nie znalazło się?

— Nie; musiało je morze umieść. Siedziałam sama u siebie, gdy służąca przysłała z wiadomością, że jakiś „reverendissime padre“ był, a ona powiedziała mu, że ojciec jest w dokach, i że on wtedy odszedł, nic nie rzekłszy. Domyśliłam się, że to musiał być Montanelli. Zbiegłam na dół i dgoniłem go przy ogrodowej furtce. „Kanoniku Montanelli“ rzekłam. „chciałabym z księdzem pomówić“, on zaś stanął i czekał w milczeniu. Och! Cezarze! ta twarz!.. Przesłał mi potem miesiąc całe. Powiedziałam mu: „Jestem córką doktora Warren'a i to ja go zabiłam“. I opowiedziałam mu wszystko, a on stał, słuchając w milczeniu, z twarzą jak wykuta z kamienia, poczem rzekł: „Uspokój się, moje dziecko; to ja jestem zabójcą; oszukałem go i on się o tem dowiedział“. Z temi słowy odwrócił się i wyszedł z ogrodu.

— A potem?

— Nie wiem, co się z nim stało. Słyszałam, że upadł na ulicy zemdłony i że go odwieziono do jakiegoś domu w pobliżu doków, ale to wszystko. Ojciec okazał się dla mnie niewysłowienie dobrym. Gdy mu wyznała całą prawdę, porzucił praktykę i wywiózł mnie do Anglii natychmiast, by mi już nic nie przypominało tych okropności. Lękał się, że i ja się także utopię, i byłem tego blizką. Ale gdy wkrótce potem okazało się, że ojciec mój ma raka, musiałam otrząsnąć się z rozpacz i pielęgnować go. Po jego śmierci zostałam sama z młodszym rodzeństwem, dopóki mój najstarszy brat nie był w możności zaopiekować się nimi. A potem zjawił się Giovanni. Czy wiesz, że gdy przyjechał do Anglii, lękaliśmy się spotkać i spojrzeć sobie w oczy z tem strasznym wspomnieniem pomiędzy nami. On sobie zawsze wyrzucał ten nieszczęsny list, który napisał w więzieniu. Ale tak myślę, że to ten wspólny ból nas połączył.

Martini uśmiechnął się i wstrząsnął głową.

— Może z twojej strony — rzekł — ale Giovanni zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia. Pamiętam, jak powrócił do Medyolanu po tej pierwszej bytności w Livorno i o niczem innym nie umiał mówić, tylko o angielskiej Gemmie! Mia-

lem tego wtedy powyżej uszu. A! otóż i on!

Powóz przejechał most i zatrzymał się przed jednym z okazalszych domów na Lung'Arno. Montanelli siedział oparty o poduszki, w postawie wyrażającej najgłębsze znużenie. Natężony wyraz, jaki w katedrze o-promieniał jego oblicze, zgasł, a słońce uwidatniało teraz głębokie bruzdy cierpień i trudów, jakimi oblicze to poorane było.

Gdy wysiadł i wszedł do domu ociężałym, znękanym krokiem schowanej, zblałej starości, Gemma odwróciła się i z wolna poszła w stronę mostu. Twarz jej miała przez chwilę ten sam wyraz beznadziejnego znużenia. Martini postępował obok niej w milczeniu.

— Zastanawiałam się często — zaczęła znowu Gemma — co on rozumiał pod tem oszukaństwem... I nieraz zdawało mi się —

— Co takiego?

— To bardzo dziwne; ale... było uderzające podobieństwo pomiędzy nimi.

— Pomiedzy kim?

— Arturem a Montanelli'm. I nietylko ja to uważałam. Wogóle było coś tajemniczego w stosunkach tej rodziny. Pani Burton, matka Artura, była kobietą poprostu anielską. Twarz jej miała ten sam uduchowiony wyraz, jak u Artura, i myślę, że pod względem charakterów byli również bardzo podobni. Ale było w niej zawsze coś wystraszonego; a żona jej pasierba obchodziła się z nią gorzej, niż z psem. Artur zaś stanowiął takie uderzające przeciwieństwo z tymi pospolitými Burtonami. Oczywiście, gdy się jest dzieckiem, przyjmuje się wszystko za dobrą monetę; później jednak, myśląc o tem, zadawałam sobie często pytanie, czy Artur był istotnie Burtonem.

— Może dowiedział się czegoś o matce i to stało się powodem jego samobójstwa, a nie ta historia z Cardim — zauważył Martini, skwapliwie chwytając się tej jedynej pociechy, jaka mu na myśl przyjść mogła. Gemma wstrząsnęła głową.

— Gdybyś był widział jego twarz, gdym go uderzyła, nie myślałabyś tak. To wszystko może być prawdą o Montanelli'm i zapewne jest — ale co zrobiłam, to zrobiłam.

Czas jakiś szli znowu w milczeniu.

— Moja droga — zaczął Martini — gdyby możliwem było odrobić to, co się raz stało, rozpamiętywanie naszych dawnych błędów miałooby jakąś rację bytu. Ale skoro się to na nic nie przyda, pocóż się napróżno zamartwiać? Straszna to historia; lecz biedny chłopiec już jest poza tem wszystkim i szczęśliwszy może od tych, co zostali w więzieniu lub na wygnaniu. Nam o tych trzeba myśleć; nie mamy prawa umieszczęśliwiać się samochem dla umarłych. Pamiętaj, co twój ukochany

Shelley powiedział: „Przeszłość jest śmiercią; przyszłość jest twoją własnością“. Bierz ją, dopóki jeszcze jest twoją, i kieruj myśl swoją nie ku temu, coś niedługo mogła złego wyrządzić, lecz ku temu, co możesz dobrze uczynić“.

Wzruszony ujął ją za rękę, lecz puścił ją nagle i coinał się na dźwięk chłodnego, przewlekłego głosu, który się nagle za nim ozwał.

— Monsignor Montan...n...ell, — mówił ten głos — jest niewątpliwie takim, za jakiego go masz, mój drogi doktorze. Istotnie, wydaje się tak dalece za doskonałym dla tego padolhu płaczu, że należałoby go wyprawić grzecznie na tamten świat. Jestem pewny, że sprawiłby tam równie wielkie wrażenie, jak tutaj... Ach! Signor Martini i Signora Bolla! Jaka piękna pogoda po deszczu, nieprawdaż? Chodziliście państwo usłyszeć n...n...owego Savonarolę?

Martini odwrócił się szybko. Bak z cygarem w ustach i ciepłarnianym kwiatem w butonierce wyciągał ku niemu szczupłą, starannie w rękawiczkę opiętą dłoń. Słońce odbijało się w jego nieskazitelnych butach; był uśmiechnięty i wydał się Martiniemu jakby mniej chromym a bardziej pewnym siebie, niż zazwyczaj. Witaj się, gdy doktor Riccardo, towarzyszący Bakowi, wykrzyknął nagle:

— Co jest Signorze Bolli?

Była tak błada, że twarz jej pod osłoną kapelusza wydawała się prawie trupią, a kokarda przypięta u piersi drżała wyraźnie, jakby od gwałtownego bicia serca.

— Wróć do domu! — rzekła słabym głosem.

Przywołano dorożkę i Martini wszedł z nią, żeby ją odwieść. Gdy Bak pochylił się, by poprawić fałdy jej płaszcza, które się zsunęły na koło, podniósł nagle na nią oczy i Martini zabaczył, że cofnęła się, jakby przerażeniem zdjęta.

— Gemmo? Co ci się stało? — zapytał po angielsku, gdy powóz ruszył. — Co ci ten łotr powiedział?

— Nic, Cezarze; to nie jego wina... Przełękłam się?...

— Przełękłaś się?

— Tak, wydało mi się — — Przystłoniła ręką oczy, a on czekał w milczeniu, aż odzyska równowagę. Jakoż uspokoiła się wpręde.

— Masz słusność — rzekła, zwracając się ku niemu i mówiąc zwykłym głosem. — Niema nic gorszego, jak patrzeć w straszna przeszłość. To się mści; na merwach i napędza najniemożliwsze przypuszczenia do głowy. Nigdy już nie będziemy rozmawiali o tym przedmiocie, Cezarze, bom gotowa upatrywać wszędzie jakieś podobieństwo do Artura. To poprostu może dojść do halucynacyi... Oto i teraz, gdy ten wstrętny mydłek nadszedł, wydało mi się, że to Artur.

Bak miał niewątpliwie dar robienia sobie nieprzyjaciół. Przybył do Florency w sierpniu, a już ku końcowi października trzy-czwarte członków Komitetu, który go zaprosił, podzielało zdanie Martini'ego. Jego gwałtowne napaści na Montanelli'ego sprzykrzyły się nawet jego wielbielcom; sam Galli, który z początku ryczałtowo obstawał za wszystkim, co dowcipny satyryk powiedział lub zrobił, zaczął uznawać, że byłoby lepiej pozostawić Montanelli'ego w spokoju.

— Zacni kardynałowie nie rodzą się na kamieniu. Można by się obchodzić grzecznie z nimi, gdy się ich napotka.

Jedyną osobą, która na pozór pozostawała zupełnie obojętną na tę ulewę karykatur i paszkwilów, był sam Montanelli. Szkoda było zużywać tyle energii na ośmieszanie człowieka, który to tak pogodnie przyjmował. Opowiadano sobie w mieście, że raz, gdy arcybiskup Florency; był u niego na obiedzie, Montanelli zobaczył na stole jakiś artykuł Baka przeciwko sobie; odczytał go, i podając arcybiskupowi, zauważył:

— To bardzo dowcipne pióro, nieprawdaż?

Pewnego dnia ukazała się broszura zatytułowana: „Tajemnica Zwiastowania“. Gdyby nawet autor nie był użył swego bardzo już popularnego pseudonimu, winieta tytułowa, przedstawiająca baką z rozpostartymi skrzydłami, i zjadliwą ciętością stylu byłyby wystarczające dla usunięcia wszelkiej w tym względzie wątpliwości.

Artykuł napisany był w formie dyalogu pomiędzy Najświętszą Panią a Toskanją, zaś Montanelli, jako anioł, piastujący lilie czystości i zwieńczony oliwną gałązkami pokoju, zwiastował przyjście Jezuitów. Roilo się tam od uwłaczających, osobistych aluzji i najdrażliwszych przytyków i cała Florencia oburzoną była na nieprzyzwoitość i zjadliwość tej oszczerzej satyry. A jednak cała Florencia śmiała się. Było coś tak nieprzeparcie komicznego w tych inwektywach, że nawet ci, którzy się najbardziej niemi gorzyli, zaśmiewali się jednocześnie. I broszura, aczkolwiek odpychająca w tonie, pozostawiła swe piętno na uczuciach publiczności. Opinia Montanelli'ego była zbyt nieposzlakowaną, by nawet najdowcipniejszy paszkwil mógł jej poważnie zaszkodzić; niemniej prąd zwrócił się chwilowo przeciwko niemu. Bak wiedział, gdzie ugodzić, i choć tłumy nie zbierały się po dawnemu przed domem kardynała, by go widzieć wsiadającego lub wysiadającego z powozu, obelżywe okrzyki: „Jezuita“ lub „Szpieg Sanfedystów“ wpadały często w chór błogosławieństw i wiatów.

Ale Montanelliemu nie brakło obrońców. W parę dni po pojawieniu się broszury „*Kaptan*”, największy, klerykalny dziennik wydrukował świetny artykuł, zatytułowany: „Odpowiedź na „Tajemnicę Zwiastowania” i podpisany „Syn Kościoła”.

Była to namiętna obrona Montanelli'ego przeciwko potwarzym napaściom Bąka. Bezimienny autor, wyłożywszy z olbrzymią swadą i zapalem doktrynę pokoju na ziemi i dobrej woli względem ludzi, której nowy papież był ewangelistą, zakończył wzywaniem Bąka, by udowodnił choć jeden ze swoich zarzutów, i uroczyście odwołał się do publiczności, by nie wierzyła godnym pogardy oszczerstwom. Artykuł ten, napisany z niepospolitym talentem, sprawił wielkie wrażenie w mieście, zwłaszcza, iż nawet wydawca dziennika nie wiedział, kim był jego bezimienny autor. Przez pewien czas o nim tylko mówiono po wszystkich florenckich kawiarniach.

Bąk odpowiedział gwałtowną napaścią na nowego papieża i jego stronników, a osobiście na Montanelli'ego, dając do zrozumienia, że to zapewne on sam napisał ten panegiryk na siebie. Bezimienny obrońca wystąpił znów w „*Kaplanie*” z namiętym zaprzeczeniem. I już do końca pobytu Montanelli'ego we Florencji wrzała walka pomiędzy obu pisarzami, pochłaniając uwagę publiczności bardziej, niż sam sławny kaznodzieja.

Niektórzy z członków liberalnego stronnictwa wymawiali Bąkowi zgoła zbytęcną zjadliwość tonu względem Montanelli'ego; ale Bąk uśmiechnął się tylko uprzejmie i odpowiedział nieco zająkliwie:

— Do...o, prawdy, panowie, jesteście niesprawiedliwi. Zastrzegłem sobie wyrażnie, ustępując życzeniom Signory Bolli, prawo do powetowania sobie teraz tego ustępstwa.

W końcu października Montanelli wrócił do swojej diecezji w Romanię, i przed wyjazdem z Florencji miał pożegnalne kazanie, w którym mówił o zatargu, łagodnie ganiąc gwałtowność obu pisarzy i prosząc swego nieznanego obrońcę, by dał przykład tolerancji, kończąc tę niepotrzebną i niestosowną walkę na słowa. Następnego dnia „*Kaptan*” zamieścił notatkę, że „Syn Kościoła” zgodnie z życzeniem Monsignora Montanelli wycofywa się z zatargu.

Ostatnie słowo przypadło w udziale Bąkowi. Jakoż wydał broszurkę, w której uznał się za uzbrojonego i nawróconego chrześcijańską wyrozumiałością Montanelli'ego, tak dalece, że gotów był paść na szyję pierwszemu napotkanemu Sanfedysie i ronić łzy pojednania w jego kamizelkę. „Gotów byłbym nawet, zakończył, uściskać mego bezimiennego przeciwnika, a gdyby nasi czytelnicy wiedzieli, tak, jak ja i Jego

Eminencya wiemy, co to oznacza i czemu ten szlachetny obrońca nie uchyła przyłbicy, uwierzyliby w szczerłość mego nawrócenia”.

W drugiej połowie listopada Bąk oznajmił literackiemu Komitetowi, że wyjeżdża na dwutygodniowy odpoczynek nad morze. Udał się jakoby do Livorno, lecz doktor Riccardo, który wkrótce potem pojechał tam również i chciał się z nim zobaczyć, szukał go napróżno.

5-go grudnia polityczne demonstracje o bardzo krańcowym charakterze wybuchły w państwie papieskim, wzdłuż całego łańcucha Apeninów, i ludzie poczęli się domyślać powodu nagłej fantazji Bąka do wyjazdu nad morze w zimie. Wrócił on do Florencji po uśmierzeniu rozruchów i spotkawszy Riccarda, zauważył uprzejmie:

— Słyszałem, żeś pan mnie szukał w Livorno. Byłem w Pizie. Jakże to śliczne, starożytne miasteczko. Jest w niem coś arkadyjskiego.

W tygodniu świątecznym zjawił się na posiedzeniu Komitetu literackiego, które odbywało się w mieszkaniu doktora Riccarda w pobliżu Porta alla Croce. Osób zebrano się dużo i gdy Rivarez przyszedł trochę późno, wszystkie miejsca były zajęte. Riccardo chciał przynieść mu krzesło z drugiego pokoju, ale Bąk zatrzymał go.

— Nie trudź się pan — rzekł — już ja tu sobie wyszukam jakiś kącik — i podszedłszy do okna, przy którym znajdowało się krzesło Gemmy, usiadł na parapecie, opierając się plecami o żaluzję.

Gdy spojrzął na Gemmę napwół przymkniętymi oczyma, uśmiechając się w subtelny, sińskowy sposób, przypominający portrety Leonarda da Vinci, instynktowną niewiara, jaką w niej budził, przemieniła się w niej w poczucie niczem nie wytłumaczonego lęku.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

# Spór polsko-rosyjski.

Przeciwieństwo kultur czy przeciwieństwo interesów?

2

Chołoniewski kategorycznie stwierdza natomiast, że „ani jednorodność kultur nie stwarza rękojmi sielanek między narodami, ani różnorodność ich nie wyklucza zgodnych dążeń”. Dla przykładu dość zacytować Rosję i Francję, Bułgarię i Turcję w wojnie obecnej. Gdy Chołoniewski wpatruje się w głębiny procesu historycznego — dochodzi do wniosku, że „jest rzeczą charakterystyczną, iż od w. XVI każde panowanie w Polsce zaznacza się wojną moskiewską i niemal po każdym wygasłem panowaniu powtarza się próba unii”. Naprzemian: miecz i dążenie do jedności. Wpływ nasz kulturalny na Moskwę zaczyna się już u schyłku wieku XVI, rośnie w pierwszej połowie w. XVII, do szczytu dochodzi w przededniu w. XVIII. „Wbrew mniemaniu zatem, iż antagonizm polityczny polsko-rosyjski wynika głównie z przeciwieństw kulturalnych, wykazuje historia, że najwybitniej zaznacza się działanie umysłowości polskiej na rosyjską właśnie wtedy, gdy polityczne drogi Polski i Moskwy ostatecznie się rozeszły, kiedy w grzechach leżą oddawna plany państwowej jedności”. (Str. 22).

Polszczyzna cieszy się w Moskwie urokiem. Pierwszy posiew nauki; zachodniej w Rosji, to zapożyczone od polaków wiadomości i prace z zakresu nauk przyrodniczych, matematyki, medycyny, historii, geografii, ekonomii, pedagogii, zasad muzyki. Damy moskiewskie modlą się na psalterzu Kocha-

nowskiego. Utwory polskich autorów czytowane są przez garnację się do kultury sfery bojarstka. „O uroku polszczyzny powie nam cokolwiek książka Iwan Chworostynin, który wcale Polski nie oglądał, a jest „opolaczony”. Prof. Al. Brückner zaś stwierdza, iż „literatura przekładów z polskiego była tak bogata, że dziś znajdujemy wśród nich rzeczy, które zachowały się u nas w urrywkach, a nawet zupełnie zatraciły”.

I dlatego Chołoniewski radzi zagadnienie przenieść na teren racjonalniejszy. Jest to walka, w której różnice kultury mogły się zaostrzać i pogłębiać, ale zdecydowały sprawę bezwzględnie czynniki natury wybitnie politycznej. „Jest to walka o państwowy teren rozszerzania się”.

„Ta gra współzawodnicza, ciągnąca się aż do rozbiorów Rzeczypospolitej, a w zmienionej postaci przeciągnięta i poza rozbiory, gra, w której ostatecznie nie sprowadziliśmy ciężkiemu zadaniu, stanowią rdzeń antagonizmu polsko-rosyjskiego. Była to rywalizacja dwóch ekspansji państwowych, dwóch sił, które skrzyżowały się ze sobą w walce o władzę na jednym terenie. Konflikty kulturalne w swej ostrej postaci wystąpiły na tem podłożu z czasem jako zjawisko wtórne”. (Str. 30). Taka jest konkluzja A. Chołoniewskiego.

Co więcej, uważa on, że i po rozbiorach naród polski na próbę zgody ze strony rosyjskiej, określonej

stanem rzeczy z r. 1815. odpowiadał ze swojej strony: „nie chcę”. Na próbę porozumienia z r. 1862 dał jeszcze szysznią odpowiedź: „nie chcę”. Czemu? Przecież gwarantowano nam możliwość rozwoju kulturalnego w granicach etnograficznych. w granicach Królestwa Kongresowego. Chołoniewski sądzi — że w 1830 jak i 1862 Królestwo było się nie tylko o swoją wolność, a przedewszystkiem o ideę państwowości polskiej, która obejmuje w granicach swoich i te tereny sporne, które zaanektowała nam Rosya po trzecim rozbiore. Polska będzie zawsze wracać czynem i myślą na ten wschód najbliższy, bo, jak mówi szlachta polska w adresie do Andrzeja Zamojskiego. „dzielić miłości nie możemy, ojczyznę całą kochamy, w granicach, jakie jej tradycje historyczne przekazały”.

„W roku 1812 aspiracyom naszym towarzyszył sojusz z potęgą Napoleona. w roku 1831 wspierały się te aspiracye już tylko na małej armii własnej, w roku 1863 armię zastąpiły oddziały partyzanckie”. „Z pokolenia na pokolenie nasza zdolność rewindykacyjna jest coraz mniejsza, wróg w stosunku do nas jest coraz silniejszy. Lecz rozpędu polskiej myśli politycznej w kierunku raz wykreślonym nie jest w stanie zatrzymać (Str. 36).

Tak określa Chołoniewski ten proces walki historycznej w wieku XIX. Nie uwzględnia on tylko ostatnich lat pięćdziesięciu, gdy Polska powstaniową przez programy różnych organiczników i polityków z obozu polityki realnej godziła się na autonomiczną ideę w granicach mocarstwa rosyjskiego. Przez ten czas Rosya odbyła ewolucję w kierunku imperyalizmu quand même. Nie jest to jej tylko „zasługa”. Gdy ze sprawy polskiej uczyniono kwestję wewnętrzo-rosyjską, a stało się to w porozumieniu ścisłym z państwami rozbiornymi, myśl polityczna rosyjska zaczęła uważać Polskę za wrota do zachodniej słowiańszczyzny. Interes rosyjski i tylko rosyjski miano na względzie. Gdy walczono o bułgarów — wyciągano ręce po Konstantynopol. Gnębiono Polaków, a rzucono miliony w Serbię, Chorwacye, Sławonię i Czechy — by w przyszłości przygotować sobie łup z rozbioru Austrii. I dlatego poseł Lempicki przestrzegał w liście swoim otwartym do Mikołaja Mikołajewicza ludy: „Ze zjednoczenie słowiańskie nie może być niczem innym, jak tylko jednością wielkoruską” (Str. 33).

Oficyalni przedstawiciele polityki polskiej w Dumie nie stawiali programów daleko idących; zrezygnowali nawet z autonomii, by wywalczyć samorząd, którego nam też nie udzielono w chwili pokoju, a rzucono, jako potwierdzenie odezwy wielkiego księcia, nie imieniem społeczeństwa rosyjskiego, lecz rządu.

Wreszcie rząd proklamował autonomię — ale wtedy, gdy wojska rosyjskie zmuszone były uchodzić z Królestwa.

Czy rząd był w zgodzie z wioskzością Dumy? Z panami Markowymi, Aleksiejewami, Eulogiuszami! Duma śniła marzenia o bezwzględny podboju wszystkich ziem polskich i wcale nie kwapiła się do zajęcia reformami. Jeżeli o czem myślano — to o nawracaniu Galicyi. Interes rosyjski sięgał przez Galicyę do Czechów i Słowaków. Marzono o zajęciu na wieki „Ugorskiej Rusi”. Po stołypinowskiej reformie wyborczej na Litwie uspokoiły się „sfery”, choć p. Mienszykow radził jeszcze podczas wojny patrzeć krytycznie na „drogich braci-Polaków”. Wolność w Królestwie — to przyłyły siły na kresy. Królestwo zaś należy osłabiać, bo przez mocne ziemie polskie nie można sięgać na Zachód.

Niepoprawny, nieobliczalny i zachłanny imperyalizm rosyjski kopał sobie grób; chciał ciągnąć wszystkie korzyści, nie licząc się z nikim. Od czasu 1863 roku w psychice rosyjskiej polityki zaszła właśnie ta zmiana kardynalna w stosunku do nas, że przestano się z nami liczyć, jako z narodem państwowym, ulegając ciągle podszeptom zwodniczym a perfidnym, które otumaniały mózg rosyjski, to ekspansją na Wschód — to znów urojeniami i przyzwoleniami do gnębienia Polski. Na Wschodzie Japonia zadała cios otumanionej bucie rosyjskiej. Na Zachodzie Niemcy orężem przekreślili uludny program rosyjskiej sprawy wewnętrznej Polski. Dziś Rosya rozumie i zdaje sobie sprawę, że Polska stała się kwestyą międzynarodową.

Ujęcie A. Chołoniewskiego nie rozpatruje ostatnich ogniw rozwoju stosunków polsko-rosyjskich. Patrzy on na antagonizm polsko-rosyjski pod kątem widzenia polityki, kiedy Rosya uważana była za ostoję konserwatyzmu europejskiego. Od tej pory przez ostatnie lat pięćdziesiąt zmieniło się oblicze europejskie niedopoznania. Ze jednak nie wspólnota kultur, ale pewna przybliżona zbieżność interesów decyduje o losach i o przyszłości Polski, nie tylko nie należy wątpić, lecz bezwzględnie podnieść — jako doniosłą myśl i przestrożę Chołoniewskiego, Interes więc powinien stać na straży naszych orientacyi. Polska nie powinna zanymkać sobie dróg wyboru na przyszłość.

Eustachy Czekański.



## Z literatury.

### Metodyka czytania i pisania.

W „Bibliotecze nauczyciela”, którą wydaje J. Lisowska, zjawiała się w tomiku IV praca p. Eugenii Lublinerowej p. t. „Metodyka czytania i pisania przedstawiona w jej historycznym rozwoju”. Z książeczką tą radziłbym też zapoznać się rodzicom, mającym dzieci, które należy zacząć uczyć sztuki czytania i pisania. P. Lublinerowa bowiem w przystępnej i jasnej formie wykładu różne metodyki nauczania, zwraca uwagę na doniosłą praktyczność jednych i wykazuje braki innych. Warto się poznać z metodą Promyka, Falskiego czy też sposobem amerykańskim — gdyż powinno się dążyć do tego, by za wszelką cenę ułatwić dzieciom początki czytania. Gdy dziecko zacznie czytać — prędko asymiluje sobie tę sztukę i w krótkim czasie nauczy się płynnie i bez wysiłku odcyfrowywać myśli, zawarte w rzędkach stojących przy sobie liter. Książeczka p. Lublinerowej jest bardzo pożytecznym pomocniczym podręcznikiem dla każdego, kto zamierza uczyć czytania.

### Junactwo.

W „bibliotece Drużyny” zjawily się broszury pióra Adama Chętnika o „Junactwie”, „Harcerstwie w junactwie” i o „Harcach junackich w ziemie”. Broszury te są arcymilą lekturą i dla ludzi starszych a interesujących się wychowaniem naszej młodzieży. Pragną one wychować przyszłego obywatela polskiego w zdrowiu fizycznym i moralnym. Nawiazujać nie do dawnych rycerskich tradycyi — w jakich chowano naszych przadziadów. I podkreślają wszystkie rubinowe, szlachetne tony w psychice polskości: odwagę, zrzeczność, bitność, dzielność, hart ducha i wierność umiłowaniom. P. Chętnik, gdy wyklada, jak należy rozumieć junactwo — powołuje się na całą girlandę faktów i określeń, które nam przekazała historia i literatura. Tak samo też postępuje — gdy wyjaśnia harcerstwo. Być harcerzem — to znaczyło piastować wszystkie cnoty rycerskie. Harcerz wyciągał na bój przed bitwą generalną wojsk naprzeciw sobie stojących. W pojedynku określał wartość bojową rycerstwa, do którego należał. Książeczki p. Chętnika powinny się stać cennym nabytkiem pedagogicznym dla wszystkich szkół polskich bez wyjątku. Dzieci ludu — jak i dzieci miasta nauczą się z nich kochać przeszłość i godnie zacząć się sposobie do walki o lepszą przyszłość.

### Historya starożytna.

Już w wydaniu szóstym zjawiała się Historya starożytna, sposobem elementarnym wyłożona przez prof. Tadeusza Korzozona. 113 rysunków w tekście oraz 3 mapy doskonale uzupełniają jasny wykład. Tablica synchronistyczna w przejrzystym układzie zawiera chronologię dziejów ludzkości na 4,000 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana do czasów Rzymu za Cezarów. Nazwisko prof. Korzozona wystarczy za polecenie tego podręcznika.